



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW



42. „OKIENNIK”—GRUPA SKAŁ W SKARŻYCACH KOŁO ZAWIERCIA

fot. J. Niekrasz.





# ZYGMUNT GLOGER

7)

## (Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu).

Oto z rozżaleniem stary na końcu wspominał o prowiantorze z lat pamiętnych, dzielnym Benku leśniku, który, otrzymawszy 300 kozackich nahajek, stracił zdrowie raz na zawsze, ale milczał, nie zdradził dziedzica. Wprawdzie obiecał mu p. J. nadać spory kawał gruntu, ale lata biegły, Benek coraz więcej krwią pluł, aż nareszcie dusza wyleciała na dziedzictwo niebieskie, a sieroty jak cierpiały, tak cierpią srogą nędzę, bo do nieba daleko!...

Piękny to, zaiste, obrazek spartanizmu krakowskiego chłopca, gdyby nie zakrywała go bezprzykładna niewdzięczność, smutkiem przejmująca duszę. To też uściskawszy zaczął dłoń starego wiarusa, ponuro nastroszeni, ruszyliśmy dalej.

Odległość z Bobolic do Mirowa niewielka, co najwyżej pół wiorsty, wyprawivszy tedy woznicę naprzód, poszliśmy na przełaj, zbierając amonity, gąbki, polipy, rynchonelle i t. p. skamieniałości jurajskie, których tu na wszystkich polach istne zatrzęsienie. Po drodze zwiedziliśmy za zamczyskiem obszerną, a tuż nad powierzchnią ziemi wznoszącą się grotę, do której pasterze zniecacka zaskoczeni burzą zwykle się chronią wraz ze swoją żywiną.

Zamek mirowski niższy jest znacznie od swego sąsiada, lubo obszerniejszy. Mury jego wraz z basztą trzymają się krzepko. Według podania zamek ten z bobolickim był połączony niegdyś korytarzem podziemnym. Wersya ta, być bardzo może, jest całkiem prawdziwa, popiera ją bowiem blizkie sąsiedztwo oraz okoliczność, że w wielu miejscach, gdy ziemię dobrze mróz ściśnie, daje się słyszeć pod kołem lub kopytem wyraźne dudnienie.

O ile ruiny zamczku bobolickiego z wierzchołka swej spiczastej skały wesoło ku niebu strzelają, o tyle mirowskie są ciężkie swym ogromem, smutne i bardzo ponure. Patrząc na te majestatyczne zwaliska, żalobnie się nam jakoś na sercu zrobiło, i mimowolnie spleciona z krwi, łez, bólów i ofiar przeszłość przed duszą stała oczyma. Dokoła zamku straszna martwo-

ta, dzikie głązy, skały; wszystko to razem wyołuje pelen bólu okrzyk Jeremiego:

..., Wołamy . . . . .  
Smutno nam Boże!"

Stąd do Złotego Potoku dziesięć wiorst z okładem. Minawszy z powrotem Bobolice, wjechaliśmy w piękny a tak już rzadki w kraju naszym bór modrzewiowy, w którym dzięki silnym promieniom słońca, nawskroś przeświecającym seledyn nikłych igieł, panowała jakaś bohaterska wesołość, jak najlepiej wróżąca o dalszej wycieczce. Dzielny Stach, fizjonomią swą żywo przypominający matejkowskiego Borkowicza, skracał nam drogę krakowiakami i paleniem z bata. Słońce już było nad głową, gdyśmy, Niegowę, Moczydłów i Gorzków minawszy, ujrzeli nareszcie cel upragniony podroży.

Z pewnością nigdybyśmy nie zdołali w przeciągu pół dnia obejrzeć tak licznie nagromadzonych tutaj piękności, gdyby nam w tem nie dopomogły szybkie i wytrzymałe nogi naszych koni. Zwiedzanie osobliwości zaczęło się od tego, że udaliśmy się wprost szosą ponad stawem do uroczej doliny, i tu podjeżdżając od jednej do drugiej grupy kolejno, zacząwszy od skały z krzyżem, obejrzeliliśmy wszystkie skały i grotty tego rozkosznego zakątka. Szczera chęć pokonała mozoły i trudy; po trzech, czterech godzinach spenetrowawszy obie strony rozległej doliny, zziązani, opyleni, syci wrażeń, pod arkadą Twardowskiego legliśmy na murawie. I było nam tak błogo, jakby nas rój cały zmarłych ojców błogosławił z nieba...

Zamiast rzucać słowa zachwytu o miejscowości tylekroć już opisywanej, wolę wysoce charakteryzującym Glogera rysem zamknąć moje potockie wrażenia. Oto, gdy dusze nasze pod ową bramą Twardowskiego konsumowały spożynek, zaczęła się między nami o tej ziemi olkuskiej, którą już wówczas zaczynałem badać, szeroka rozmowa.. Gloger, kolejno przechodząc wszystkie jej okolice, wszechstron-





nie mi je przedstawiać począł, wyszczególniając setki nomenklatur.

Zdumiony byłem erudycją jego i pamięcią, ale nie znając go jeszcze tak dobrze, jak z biegiem lat poznałem, sądziłem, że jest to wynik świeżych studyów przed wycieczką odbytych. Późniejsze dopiero na temat krajoznawstwa zwykle z nim toczone rozmowy, w których niejednokrotnie przeskakiwało się z jednego krańca Polski na drugi, przekonały mię, że się mylił srodze, Gloger bowiem był wyjątkowo w uczeniu się, w czytaniu, w pracy, we wszystkim gruntowny; w mowie jego nie zauważyłem nigdy ani krzty frazeologii, a pamięć jego, nieraz tomy całe „Słownika Geograficznego” zastępująca, była tak niezmierna, że śmiało rywalizować mogła z historyczną Lipsyuszów pamięcią...

Ostatnie swe blaski rzuciło słońce na ziemię, gdy wjeżdżając w drodze powrotnej na Niegowską górę, spotykamy się... z kim?—z ks. Klemensiewiczem!

Słynął, jak ziemia olkuska długa i szeroka, z zacności, gościnności i swych czynów myśliwskich ksiądz proboszcz niegowski. Dobrej tuszy, średniego wzrostu, z czerwono ogorokowatym od tabaki nosem, ruchliwy i wiecznie uśmiechnięty, typem swoim przypominał staruszek raczej jowialnego bernacha niż świeckiego księdza. Właśnie z torbą borsuczą i flintą wracał z polowania.

— He, he, he! — a to skąd, panie Michale? — rzecze,—gdysmy się zrównali. Kazałem wstrzymać konie i:

— Pan Zygmunt — przedstawiam — Gloger, ks. proboszcz Klemens... Nie dokończyłem a już mój księżulek na stopniach i rzecze: „Ależ znam, znam pana z gazet, z opowiadania i bardzo się cieszę!” A do Stacha: „Wal prosto pod ganek!”

— Wszak—mówi, zwróciwszy się do nas—nie mieliście chyba intencji plebanii ominąć! Wobec podobnej arbitralności opór na nicby się nie przydał.

W chwilę potem już siedzieliśmy pod strzechą proboszcza. Staropolski jeszcze wówczas w Olkuskiem egzystował zwyczaj, że gościa zaraz od progu podejmowano węgrynem. U ks. Klemensiewicza w domu czy przy ołtarzu odbywało się wszystko z wojskowym pośpiechem; szybko tedy wniesiono talerze, pełne frapujących ciastek i pierników. (Pan

Zygmunt łknął ślinkę, bo lubiał słodycze...) i w te pędy z piwniczki pod podłogą wysunął się zasapany proboszcz, niosąc gąsiorek półgarncowy wina. Po forsownej wycieczce, jak upatrzona była pora na nektar wzmacniający z ziemicy „bratanków”, to też wnet się rozweseliły serca, ruszyły języki. I gdy tak żywo się toczy rozmowa, wtem do uszu z pod ganek dolatuje turkot. Ksiądz wybiegł, a po chwili w towarzystwie jego, ukazał nam się we drzwiach kochany przez całe krakowskie, przezacny Faustyn Świdorski z uniesioną charakterystycznie głową i z oczami rozumnie a badawczo spoglądającymi z pod ciemnych okularów.<sup>1)</sup>

Bystry obserwator, p. Faustyn, odznaczał się nadzwyczajną trafnością sądów i poglądów, serce miał złote, towarzyszem i narratorem był niezrównanym, słowem — żyć z nim i umierać! Nie dziw tedy, że przysiadł się do Glogera, po pięciu już minutach rozmawiał z nim po koleżeńsku jak ze starym znajomym, a po dziesięciu Gloger za inicjatywą kolegi, co tak się tu czuł jak w swoim Mzurowie, był już obdarzony całym stosem książek, gdyż według argumentacji Ojca gwardyana, „druk staroświecki oczy dyabło psuje, ergo dla Nemroda takiego, jak ks. Klemensiewicz, jest bezwarunkowo szkodliwy, zatem pozbyć się go należy co najprędzej i w dodatku biorącemu podziękować za to, że się puścić na trzy kroki nie będzie do stojącego sarnika.”

A propos powyższego niezrozumiałego dla wielu ojca gwardyana, szczegół

<sup>1)</sup> F. Świdorski, syn walecznego pułkownika legii polsko-włoskiej, poeta-humorysta, dziedzic Mzurowa w Olkuskiem, ur. się w r. 1821. Jedną z pierwszych widowni jego wystąpień było czwarte z kolei u nas czasopismo humoryst. {Momus, Wiad. brukowe, Bałamut} p. n. „Wolne żarty”, które redagował wspólnie z Gregorowiczem i Lewestamem. Po zamknięciu „Wolnych żartów” był niezmordowanym współpracownikiem wielu czasopism warszawskich, prowincjonalnych i zakordonowych; artykuły w pierwszych pod pisywał pseudonimem Ex-Bocian, w ostatnich Boruta. Około roku 1870 zaczął puszczać w obieg gazetę przez siebie z końca w koniec pisaną p. n., „Tydzień”, która przez bliższe i dalsze sąsiedztwa chciwie była czytana. Był to satyryk z krwi i kości, obdarzony prawdziwie staropolskim humorem, rąbał z Werwą zamasyście, unikając pustych conceptów, stroniąc od paszkwilu. Ze świata zeszedł żałowany powszechnie.





dla historyka życia towarzyskiego w Polsce nieznany a ważny. Oto po orkanowej zawierusze w r. 63-im, jak wszędzie, tak i w Olkuskim dniu upływały ciężkie, duszne, nieprzeżyte. Z upadkiem idei ludzie się pozamykali w swych dworach i dworkach, sąsiad nie wiedział o sąsiedzie, życie zamierało.

W takich to chwilach, pełen inicjatywy a daleki zawsze od odczuwania kłopotów osobistych F. Świdorski, by ludzi tonących w morzu apatii poruszyć do wspólnego działania, zakłada w Olkuskim w r. 1869, biorąc przykład z Pszonki, wesołe towarzystwo pod nazwą „Klasztoru bernachów”.

W świeżo z olkuskiego wykrojonym powiecie będzińskim był wówczas naczelnikiem kurlandczyk, p. Mikołaj Heintze. Wyfraczony tedy dziedzic Mzurowa wali do tego pana, zawiadamia go o powstaniu towarzystwa i jednocześnie wręcza mu jowialnym wierszem skreśloną nominację na ojca prowincyała bernachów. Cel towarzystwa „wysuszenie szkła” był w zawiadomieniu wyrażony jasno:

„Jeść dobrze i pić wino, tylko nie fałszywe!  
 Złe wino lub złe piwo, znają bernardyni,  
 Zły humor, a ten znowu złe uczynki czyni,  
 Zaś złe potem uczynki—do piekła prowadzą,  
 Więc przepisy klasztorne złych win pić nie dadzą.  
 W piekle—pić dają smołę, trunczysko niezdrowe,  
 Potem kładą na straszne łoże Madejowe —  
 Okropnie niewygodne, złe dla bernardyna,  
 Co niech Stwórca odwróci w imię Ojca † Syna †  
 Na tem koniec mój Ojczel!—bez żadnego względu,  
 Przyjm tytuł z Nominacją nowego urzędu“.

Cel więc towarzystwa i z nominacji przebiegał jasno, a w dodatku stwierdzała go wielka pieczęć z wyobrażeniem potężnego kieliucha, a dokoła w otoku napis: „Sigillum Bernardinorum, Vitrum Gloriosum”.

Heintze przeciwko temu, że „woda — jak się wyrażał Ex-Bocian, — powinna tylko służyć grzesznemu człowiekowi do mycia i do prania”, rozumie się nie oponował, na wizy-

tację piwnic klasztornych zgodził się chętnie i w zasadzie niczemu nie był przeciwny.

Lody tedy najgrubsze odrazu były przełamane. Zresztą aplauz powszechny w tej sferze uzyskała gromadna degradacja zniewidzonych „ksien dzow” na wachmistrzów klasztornych i żandarmów<sup>1)</sup> i vice versa doręczenie tym ostatnim nominacji na proboszczów i dziekanów, aby zbierać sobie mogli „grosz za pogrzeby, śluby i wotywy...” W ten sposób odwróciwszy oko aż nazbyt wówczas podejrzliwej władzy, pan Faustyn, przewawszy się „ojcem gwardyanem”, zaczął od organizacji swego własnego czyli mzurowskiego klasztoru, w którym wzorując się na Rzeczypospolitej Babińskiej, skąpców mianował kanafarzami, głuchych organistami, kaznodziejami jakałów etc. Wszystkie nominacje, tryskające humorem, ba nieraz głęboką satyrą, były wydawane w imieniu Heintzego („In Nomine Magnifici et Illustrissimi Domini Nicolai de Heintze Prefecti Congregationis Bernardinorum in Bendzin”).

W skład każdego klasztoru wchodził: gwardyan, co najmniej dwóch patrów i tyłuż kleryków, wikary-archiwista, kalikant, (zwykle najkorpulentniej z całej parafii zbudowany szlachcic), organista, kwestarz, kanafarz i dwóch do pilnowania „ksien dzow” przedstawicieli władzy wojskowej (wachmistrz żandarmeryi i wachmistrz straży ziemskiej), którymi, jak to już wyżej nadmieniałem, był zwykle proboszcz najbliższy i jego wikary.

D. N.

M. Federowski.

<sup>1)</sup> „Zdejm z siebie—pisze Świd. do księdza w jednej z takich nominacji— swą sutanę czyli rewerendę,  
 I daj ją Maksymowi co został bernachem  
 I zamieszka pod Twoim na plebanii dachem,  
 A weź mu jego pałasz, ostrogi i kepi,  
 Daję słowo honoru że Ci będzie lepiej,  
 Schudnie wkrótce Maksymow chociaż dzisiaj tłusty,  
 Jak będzie bez paszportu jeździł na odpusty“...







# Kilka spostrzeżeń nad termiką wód Tatr i Podhala.

3)

Najważniejszą kwestją jest wyjaśnienie silnych wahań temperatury wód Poronina. Przypisywałem je powyżej bezpośrednio wpływowi insolacji. Za twierdzeniem tem przemawia już ten fakt, że czystsze wody Zakopianki mają silniejsze wahania temperatury od Porońca. Poszlaki rosną w tym samym kierunku, gdy dodam, że podczas dni stałe pogodnych wahania temperatury wód tych rzek przekraczały przeciętnie 7 stop., w dniach pochmurnych nie osiągały trzech stopni. Gdy jednak zawsze wahania temperatury powietrza były nieznacznie co prawda ale stałe wyższe od wahań temperatury wody, przeto pozostaje jeszcze prawdopodobieństwo, że wahania temperatury wody odzwierciedlają wahania temperatury powietrza, że ruch temperatury wody jest następstwem przewodnictwa ciepła. Doświadczenia, poczynione gdzieindziej pozwalają to przypuszczenie, co prawda a priori, odrzucić. Wszak wiemy, że silnym kontynentalnym wahaniem temperatury powietrza w Tarnopolu, przenoszącym 10 stop., odpowiadają wahania temperatury wody, wynoszące za ledwie 2,5 stop., przewodnictwu ciepła nie możemy tedy przypisać wielkiego wpływu na wahania temperatury wody, ale dla oceny niezależności ruchu temperatury wód Poronina od temperatury powietrza mamy jeszcze inne bezpośrednie dowody. Ruch codzienny temperatury powietrza i wody w Poroninie (+ znaczy wzrost, — spadek temperatury) przedstawiają mianowicie zupełnie odrębne typy. Oto cyfrowy ich obraz.

Liczne względy, niemniej ułatwienie oryentacji usprawiedliwią przedstawienie ruchu dziennego temperatury zmniejszoną liczbą cyfr średnich.

| Godzina    | Rano              |                   |                   | Wieczór           |                   |
|------------|-------------------|-------------------|-------------------|-------------------|-------------------|
|            | 6—9               | 9—12              | 12—3              | 3—6               | 6—9               |
| Powietrze  | 1,20 <sup>0</sup> | 0,85 <sup>0</sup> | 0,09 <sup>0</sup> | 0,92 <sup>0</sup> | 1,11 <sup>0</sup> |
| Zakopianka | 0,97 <sup>0</sup> | 0,90 <sup>0</sup> | 0,24 <sup>0</sup> | 0,52 <sup>0</sup> | 0,65 <sup>0</sup> |
| Poroniec   | 0,84 <sup>0</sup> | 0,89 <sup>0</sup> | 0,31 <sup>0</sup> | 0,39 <sup>0</sup> | 0,54 <sup>0</sup> |

W cyfrach powyższych występuje ostre przeciwieństwo typów ruchu temperatury powietrza i wody. Powietrze ogrzewa się najsilniej do 9 rano, woda od 9—12; powietrze już w południe między 12 a 1 osiąga najwyższy stan temperatury, woda dopiero w dwie godziny później; miara oziębiania się powietrza gwałtownie rośnie ku wieczorowi, oziębianie się natomiast wody odbywa się po godzinie czwartej po południu niemal jednostajnie. Są to różnice zasadnicze, które dadzą się wytłómaczyć tylko odrębnym środowiskiem, na które działa insolacja, a potęgą jej jest w prostym stosunku do przejrzystości wody. Przemawiają za tem wymownie małe ale systematyczne różnice ruchu temperatury wody w potoku Zakopiance. Mimo bowiem zasadniczego podobieństwa typu ruchu temperatury wody Zakopianki i Porońca, istnieją między tymi dwoma potokami o każdej porze dnia malutkie, ale stałe a tedy charakterystyczne różnice, zbliżające ruch

| Godzina   | Rano |      |      |      |      |      | Południe |      |      |      |      |      | Wieczór |      |                   |
|-----------|------|------|------|------|------|------|----------|------|------|------|------|------|---------|------|-------------------|
|           | 6—7  | —8   | —9   | —10  | —11  | —12  | —1       | —2   | —3   | —4   | —5   | —6   | —7      | —8   | —9                |
| Powietrze | 2,70 | 1,98 | 0,95 | 0,94 | 0,84 | 0,77 | 0,09     | 0,08 | 0,28 | 0,78 | 0,99 | 1,00 | 1,13    | 1,01 | 1,19 <sup>0</sup> |
| Zakopian. | —    | 1,23 | 0,92 | 0,91 | 0,89 | 0,89 | 0,41     | 0,21 | 0,09 | 0,39 | 0,58 | 0,61 | 0,61    | 0,64 | 0,74 <sup>0</sup> |
| Poroniec  | 0,40 | 0,89 | 0,85 | 0,88 | 0,90 | 0,90 | 0,42     | 0,32 | 0,18 | 0,27 | 0,45 | 0,45 | 0,45    | 0,58 | 0,66 <sup>0</sup> |





temperatury Zakopianki do ruchu temperatury powietrza. Tłomaczę to jako skutek większej przejrzystości wody Zakopianki, czerpiącej swe wody przeważnie z granitowych i wapiennych mas tatrzańskich, podczas gdy wody Porońca tryskają w przeważnej części w iłólkach i łupkowych piaskowcach podhalańskiego trzeciorzędu. Różnica pochodzenia wód obu tych potoków tłomaczy nam także bezwzględną różnicę ich temperatury. Przeciętnie wynosiła ona dla całego okresu obserwacji 2,6 stop., ale ani różnica ta nie była stała, ani jej zmiany nie zdawały się być przypadkowe. Rozwiązując odrazu tę kwestyę, podaję, że od 16—22 sierpnia była przerwa w spostrzeżeniach moich, spowodowana wycieczką w Tatry. W tym czasie 17 sierpnia spadł w Tatrach pierwszy w czasie obserwacji śnieg, co prawda bardzo nieznaczny ograniczony tylko do najwyższej, wschodniej części Tatr, należy wszakże przypuścić, że równocześnie w całych Tatrach spadły opady o bardzo niskiej temperaturze. Zdarzenie to nie pozostało bez wpływu na stosunki temperatury wód obu potoków Poronina. Gdy podzielić okres obserwacyjny przed 16 sierpnia na cztery części, a następny na dwie części, to stwierdzimy, że różnica temperatury Porońca i Zakopianki w pierwszym okresie stale malała z 3,2 na 2,8 stop., 1,9 i 1,7 stop., po 22 sierpnia zaś znowu wzrosła do 2,8 stop., poczem w ostatnich dniach spadła do najniższego stanu, do 1,5<sup>o</sup>. W tych stosunkach tkwi też wytłumaczenie różnicy temperatury wody Porońca i Zakopianki. Wody Zakopianki sięgają kilku żyłami w górne kotły Tatr, karmią się wodami kilku, choć nie wiecznych jednak długotrwałych śniegów. Póki te obficie zasilają Zakopiankę, wysoka różnica temperatury zwolna maleje, w miarę jak się zapasy śniegowe jej górnych pięter wyczerpują; świeże śniegi rozpoczynają tę kolej na nowo. Wprawdzie i Poroniec jedną swą żyłą wciska się w głębie Tatr, do kotła Czarnego Stawu i Gąsienicowej Hali, ale wody śniegowe tych dziedzin przepływają przez stawy, akumulujące w lecie ciepło, i dlatego, przynajmniej w okresie mojej obserwacji, nie wywierały wody śniegowe wpływu na ruch temperatury wody Porońca. To pewne, że całoroczne bodaj tylko obserwacje odkryłyby niejedną jeszcze zagadkę, rozwiązałyby niejedno jeszcze prawo ruchu temperatury wód tatrzańskich. W osta-

tnich dniach obserwacji były wody Porońca już tylko o 1,5 stop. cieplejsze od wód Zakopianki, a mam pewne poszlaki, że już nie wiele niżej ta różnica temperatury spadła; jest ona następstwem przeciętnej różnicy wysokości źródlisk obu tych potoków; odpowiada to wysokości, wynoszącej przeciętnie około 200—300 metrów.

Na zakończenie tego sprawozdania podaję jeszcze jeden opis niezwykle ciekawego zjawiska z dziedziny hydrologii wód płynących, zjawiska znanego już skądinąd, niemniej uderzającego i niemal niespodziewanego.

Pomiary moje wykonywałem, o czym była mowa na początku, w pobliżu ujścia Porońca do Zakopianki. Połączone potoki tworzą Biały Dunajec. Potokiem większym była normalnie Zakopianka, lecz ponieważ często lokalne burze podnosiły raz wody Zakopianki, drugi raz Porońca, przeto stanęło przedemną zagadnienie mierzenie względnej objętości obu tych potoków. Metoda wskazana zdawała się być bardzo prostą. Temperatura Białego Dunajca mierzona poniżej połączenia się wód Porońca i Zakopianki powinna, jak temperatura mieszaniny, dać stosunek objętości części składowych. Stosunki topograficzne ujścia potoków rzucą światło na warunki, w których wykonałem pomiary. Poroniec wpada niemal dokładnie pod kątem prostym do Zakopianki, a wpada w miejscu, w którym Zakopianka zatacza łuk wysunięty ku Porońcowi, wody więc Porońca wpadają wprost do głównego nurtu wód Zakopianki. Wody Porońca, płynąc w dodatku na swem stożkowym rynisku, rozdzielają się na kilka ramion, wnikają więc w Zakopiankę cząstkami o znikomej objętości i sile pędu; jedno z ramion Porońca zostało sztucznie jako młynówka około 100 m. w dół przesunięte.

Pomiar pierwszy wykonałem 10 sierpnia po południu. Temperatura Zakopianki 12,4<sup>o</sup>, Porońca 14,2<sup>o</sup> Białego Dunajca, mierzona z lewego brzegu około 170 m. poniżej głównego ujścia, wynosiła 13,1 st. stąd wynikał stosunek mas wody Porońca do Zakopianki, jak 1:1,57. Stosunek ten nie był pozbawiony prawdopodobieństwa. W drugim dniu wszakże pomiar dał następujące ilości: Zakopianka 10,8 stop., Poroniec 12,5 stop., Biały Dunajec w tym samym profilu ale z brzegu prawego 11,8 stop.; z tej obserwacji wynikało, że Zakopianka toczy tylko 0,7 ilości





wód Porońca, co zdawało się oczywiście zupełnie do prawdy niepodobnem. Pomiarzy dni następnych wykluczyły wszelkie wątpliwości. Pomiarzy, wykonywane w poprzek profilu Białego Dunajca, stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że jeszcze około dziesięciu kroków od brzegu prawego płyną w Dunajcu niemal niez mieszane wody Porońca, a w tej odległości od brzegu lewego — wody Zakopianki. Pięć dni pomiarów dało następujące średnie wyniki: różnica temperatury wód Porońca i Zakopianki wynosiła przeciętnie 1,8 stop., różnica temperatury wody Dunajca z prawego i lewego brzegu wynosiła 0,9 stop.; w jednym wszakże dniu, w którym różnice temperatur wód składowych wynosiły 3,9 stop. wynosiła różnica temperatury wody w odpowiednich miejscach w Dunajcu 2,7 stop. Po tych doświadczeniach nie ulegało przeto żadnej wątpliwości, że 170 m. niżej ujścia oba potoki płynęły obok siebie bardzo mało zmodyfikowane. Zjawisko to znane, jak już podniosłem powyżej, skądinąd, bo spostrzegane podczas powodzi, gdy wody mętne jednej rzeki płyną oddzielnie długie przestrzenie, jest niemniej godne uwagi, jeśli się zważy szczególne warunki topograficzne ujścia tych potoków, jeśli się uwzględni większą masę i większy spadek wód Zakopianki, a więc czynniki, które powinny ułatwiać i przyspieszać jednoczenie się tych wód. Liczne wycieczki, ale w większym jeszcze stopniu i coraz mniejsza w końcu sierpnia różnica temperatury wód potoków Poronina utrudniały dalsze śledzenie tego ciekawego zjawiska.

Ostatecznie nie opuściłem potoków Poronina bez posunięcia tej kwestyi o krok naprzód. Dalsze moje pomiary wykazały, że dwie indywidualne mieszaniny, płynące w Dunajcu 170 m. niżej ujścia, czystość swą zachowały jeszcze na długiej przestrzeni. Różnica tem-

peratury wód Dunajca na przeciwnych brzegach wynosiła dnia 23 sierpnia. 170 m. niżej ujścia 0,6 stop., 430 m. niżej ujścia 0,5 stop., a jeszcze 680 m. niżej ujścia 0,3 stop. Dodać należy, że równocześnie różnica temperatury wód składowych wynosiła tylko 1,5 stop., że w Dunajcu mierzyłem temperaturę zawsze co najmniej 7—10 kroków od brzegu, że też w tych warunkach kwestya, gdzie się wody w zupełności mieszają, dokładnie rozstrzygnąć się nie dała. Stwierdziłem tedy następnego dnia, że około 3 km. poniżej ujścia pod mostem szosowym we wsi Białym Dunajcu wody mają w całym profilu temperaturę jednolitą, co przy równoczesnej różnicy temperatury wód składowych wynoszącej 2,3 stop. dawało gwarancję, że w tem miejscu składowe wody już się w zupełności zjednoczyły. Na podstawie tej jedynej pewnej obserwacji obliczyłem, że Zakopianka dostarczała w danej chwili Dunajcowi 65% wody, a Poroniec tylko 35% wody. I przyznam się, że mam do tego wyniku dosyć zaufania, mimo, że znacznie poważniejsze studjum Pomianowskiego doprowadziło do innych w tej mierze wyników (Zakopianka 58%, Poroniec 42%). Należy zaznaczyć, że moja wartość, to zdjęcie momentalne, ale należy też podnieść zarazem doniosłość takich zdjęć momentalnych; pozatem, chciałbym do nich zachęcić i zapalić na przyszłość licznych letników, aby łącząc przyjemne z pożytecznym, nie tylko afektem wielbili przyrodę, ale też jej poznaniem i badaniem.

Oto, co mię skłoniło do szerszego opisu tych moich przygodnych zabawek z wodą w Poroninie. <sup>1)</sup> *Eugeniusz Romer.*

<sup>1)</sup> W № 48 „Ziemi” na str. 781, szpalta lewa wiersz drugi od dołu winno być *wyższa* zamiast *niższa*.



## Z KOLONII POLSKICH W PARANIE.

Gdyby po przybyciu do Parany emigranci spotkali się z wzorami wyższej, choć obcej kultury — jak to się dzieje np. w Stanach Zjednoczonych lub Francyi — wywarłoby to na nich olbrzymi wpływ. Niestety! To, z czem spotykają się tutaj,

nie dodatniego zaszczepić im nie może. Ani brazylijska ani polska inteligencja nie zajmuje się emigrantami, lub robią to w celu wyzyskania ich dla swych widoków; wpływ wywiera jedynie lud brazylijski, tak zwany *kabukry* (cabo-

2)





KOLONIA IVAHY. RODZINA I DOMEK CABOCLE'A fot. T. Chrostowski

cles), których bezwiednie lub świadomie naśladowają koloniści w uprawie ziemi opisanym wyżej sposobem, w ubraniu, w noszeniu się z nożami i bronią palną i t. d. Jednakże brazylijski system uprawy, jakkolwiek przystosowany do miejscowych warunków (przy minimum nakładu pracy, daje maximum dochodu), jest niezmiernie pierwotny i wymaga większych przestrzeni oraz kapitału na zakup bydła. Nasz kolonista, wzorując się na tym systemie, popełnia błąd, który wytrąci go wkrótce z równowagi ekonomicznej i zmusi do porzucenia tak upragnionej ziemi, lub przynajmniej do wyruszenia w świat po zarobek. Ogromnie rozpowszechnione użycie trunków — prawie we wszystkich handlach wendyści „częstują” — i panujący wśród cabocli analfabetyzm obniżają jeszcze bardziej moralny poziom emigrantów.

Jedno dotychczas zachowali emigranci, a nawet zaszczyli na miejscowym gruncie — to uprawę żyta i spożywanie chleba. Trzeba jednak przyznać, że klimat i gleba parańska w zupełności nadają się do tej uprawy, natomiast urodzaj pszenicy i jęczmienia — liche, co wskazuje, iż gleba parańska bynajmniej tak urodzajna nie jest, jak chcą niektórzy. Dodajmy do tego ciągle kłeski: szarańcze, masowe najście szczerów, myszy, wreszcie obfitość mrówek i różnych owadów niweczających zasiewy, które ze względu na sam sposób uprawy, przy pomocy palika i motyki, muszą być nieznaczne. To też entuzjazm kolonisty zaczyna coraz więcej topnieć, wreszcie dochodzi on do przekonania, iż s z a k i e r utrzymać go nie jest w stanie i że, chcąc żyć, musi iść w świat po zarobek.

Komisja kolonizacyjna w gospodarce swej popełnia kilka błędów, mszczących się na całej polityce kolonialnej. Błędy te zmuszają szwaj-

carów, holendrów, niemców do porzucenia Brazylii, a polskiego chłopca, w którego tradycjach już leży „chodzenie na Saksy”, pchają do wyszukiwania zarobku nieraz w odległości kilkuset kilometrów; dopiero za zarobione pieniądze dokupuje on ziemi, zaprowadza bydło i w ten sposób przystosowuje swoją gospodarkę do warunków miejscowych.

Działki ziemi, które rozdaje komisja, byłyby zupełnie odpowiednie, gdyby ta ziemia była w kulturze, jak w Europie; tu zaś są niedostateczne, ponieważ kulturę zaprowadzić można dopiero po dłuższym czasie, do tego zaś czasu należy gospodarować systemem pierwotnym, więc trzymać bydło i palić „rosy”.

Zamiast zwrócić baczną uwagę, żeby w każdej działce była odpowiednia ilość ziemi zdatnej do uprawy — komisja nie zajmuje się wcale jakością gleby; — wprost kraje ziemię na równe kawałki bez względu na to, czy to żyzna ziemia czy nieużytki. Nikt wreszcie nie daje tu żadnych wskazówek koloniście, jak ma gospodarować: ustanowione przez prawo na koloniach pola doświadczalne funkcjonują tylko na papierze.

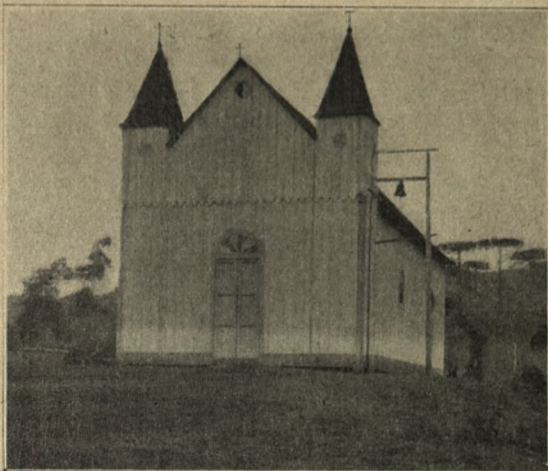
Po bezowocnej walce z myszami i szczerami, które za przykładem lat poprzednich niszczyły nasze zasiewy, wyruszyłem w grudniu r. 1910 na wycieczkę w celu poznania dwóch nowych kolonii: Ivaty i Ivahy, oraz zwiedzenia po drodze kolonii Rio Claro.

Pomimo kilkunastoletniego istnienia osada leżąca nad Rio Claro, nie zasługuje na nazwę miasta. Posiada ona kościół, dwie szkoły (rządową brazy-



KOLONIA IVAHY. CERKIEWKA RUSIŃSKA fot. T. Chrostowski





fol. T. Chrostowski

KOLONIA IWAHY. KOŚCIÓŁ

lijską i prywatną polską), pocztę, kilka wend i kilkadziesiąt domków, z których wiele stoi pustkami. Ożywia się tylko w niedziele i święta; wtedy rojno tu od kolonistów przybyłych do kościoła na małych konikach, strojnych w brazylijskie rzędy; starsi przyjeżdżają zwykle na wozach, kobiety i dziewczęta przychodzą pieszo; lecz po skończonym nabożeństwie i obfitych libacyach w wendach wszystko się wynosi i miasteczko znowu zamiera.

Domki na kolonii schludne i przyzwoite, zwykle posiadają ogródki, obsadzone winoroślą, rzadziej widzimy pomarańcze lub brzoskwinie. Na podwórkach kręci się moc drobiu, nierogacizny i widzimy też bydło i konie; uderza zamożność, choć ziemia bardzo już wyjalowiona i zbiory liche.

Jak objaśnili mię sami koloniści, dorobili się przy budowie kolei żelaznej; — „z szakru nie wyżyje”, określa krótko kolonista dochodowość swej gospodarki. Wielu, nie mogąc się utrzymać, wyniosło się na ziemię prywatne np. Anta Gorda, Roxoroiz lub do innych kolonii, oddając ziemię pozostałym, którzy w ten sposób powiększyli swe działki.

Kilkutygodniowy przymusowy pobyt w Rio Claro z powodu zwichnięcia ręki, przekonał mię, iż między naszym chłopem a kolonistą tutejszym — wielka różnica, szczególnie uderzająca w przybyłych tu w młodszym wieku. Uderza śmiałość w obeiściu, samodzielność, poczucie własnej godności — wszystko to rozwinęło się wskutek niezależnego bytu. Natomiast pijaństwo nie mniejsze, ciemnota jeszcze większa — tu już wcale nie czuje się potrzeby oświaty. „Im człowiek dłużej się edukuje, tem jest głupszy” — powiada tutejszy kolonista; to też widzimy tu nie postęp, lecz cofanie się wstecz,

dziczenie. Związek z Polską bardzo słaby — u starych istnieje jeszcze jakieś fizyczne przywiązanie do opuszczonej ziemi — u młodzieży niema już tego i ani śladu uświadczenia narodowego. Jedyne łącznik to język, lecz brak ludzi lub instytucji, którzyby starali się o utrzymanie go; raczej przeciwnie. Młodzież, zmuszona do wędrówek po zarobek, szybko się wynaradawia i w rozmowie ze sobą najchętniej używa języka brazylijskiego; nawet mówiąc po polsku, ogromnie tu szpecą język — kalecząc go portugalszczyzną.

Na Rio Claro istnieje kilka towarzystw oświatowych — Adama Mickiewicza, Sobieskiego i t. p.; zadaniem ich utrzymywanie szkół polskich. Towarzystwo takie posiada zwykle kilkunastu członków i daje zapomogi nauczycielowi. Nauczycielami są nie fachowcy, jeno przygodni inteligenci, którzy chwycili się tego zarobku w obawie głodowej śmierci, lecz przy pierwszej okazji porzucają to zajęcie, gdyż uposażenie jest niemożliwie liche (40—60 milr.). Uczą ci „profesorowie” według własnego natchnienia, bez planu, odpowiednich podręczników, no i bez korzyści dla dziatwy.

Nic więc dziwnego, że szkoła taka nie cieszy się wielką powagą i uznaniem. Dziwniejszy natomiast jest fakt, że i tak nędzne — ledwo vegetujące — szkolnictwo polskie jest zwalczane z wielką zawziętością przez duchowieństwo, dążące do zmonopolizowania oświaty w swych rękach; żaden więc nauczyciel-polak nie jest dość prawomysłny — natomiast brazylijska szkoła rządowa pozostawiana jest w spokoju.

Rząd brazylijski na koloniach polskich zakłada szkoły nie polskie, jakby oczekiwać należało, lecz brazylijskie, z których język polski jest wyłączony, a nawet używanie go przez nauczycieli podczas wykładu wzbronione. Uposażone są te szkoły



KOLONIŚCI POLSCY Z KRÓLESFWA

f t. T. Chrostowski





wspaniale: nauczyciele otrzymują zwykle po dwieście z górą milreisów miesięcznie i mieszkanie.

Kolonia Rio Claro rozciąga się na ogromnej przestrzeni. Na dalszych od miasteczka działkach siedzą rusini; cerkiew rusińska zbudowana niedaleko od stacyi kolejowej Marechal Mallet, przy której powstało dosyć ruchliwe miasteczko, posiadające browar, tartak etc. W Marechal Mallet z inicjatywy dosyć popularnej w Paranie osoby robią próbę utworzenia średniej 5-klasowej szkoły polskiej pod kierunkiem niedawno przybyłego do Parany pedagoga. Tymczasowo otwarte zostały dwie klasy. Rozumie się, iż przyszłości tej szkoły obecnie przesądzać nie podobna.

W odległości 54 kilometrów od stacyi, między rzekami Iguassu i Rio de Areia, powstaje nowa kolonia, której nazwa „Concordia” przechrzczona została niedawno na „Cruz Machado”; ciągnąc się będzie przez góry „Serra d’Esperanza” w kierunku miasteczka Guarapuara. Czynności komisji kolonizacyjnej już się rozpoczęły: mierzą, przeprowadzają czołgi, budują mosty i t. d. Podobno komisja zamierza osiedlić tu samych królewaków, uważając ich za lepszy materiał kolonizacyjny od rusinów i polaków galicyjskich.

Do Polski powędrowało „na ochotnika” kilku agentów, prawdopodobnie subwencyonowanych przez rząd, oraz jednostki, które pod płaszczykiem mrzonki o spolszczeniu Parany starają się zwerbować tu naszych emigrantów, mając na widoku własne korzyści materyalne. Agenci ci, urządzając naganke, obiecywać zapewne będą złote góry, choć teren nadzwyczaj górzysty, oraz znaczna odległość od linii kolejowej, nie mogą zapewnić nowej kolonii wielkich widoków na przyszłość. Dalsza droga wypada w pobliżu toru kolejowego przez stacye Roxoroiz, Antonio, Rebouças i t. d. W Roxoroiz miałem sposobność poznania prywatnej kolonii polskiej, powstałej przeważnie z uciekinierów z kolonii Rio Claro. Koloniści ci, nie mogąc utrzymać się na urzędowych szakrach, porzucili je i przenieśli się na ziemie prywatne; lecz własność ziemska w Paranie zazwyczaj — sporna. Po splaceniu jednych właścicieli, zjawili się inni, którzy również posiadali jakieś dokumenty i żądali pieniędzy. Więc wojna — niszczenie zasiewów, najazdy, zabijanie bydła, bijatyka i t. d. Kto chciałby się przekonać, jak wygląda polsko-brazylijska idylla, temu radziłbym przyjrzeć się stosunkom, panującym na Roxoroiz.

W odległości 40 przeszło kilometrów od Roxoroiz znajduje się stacya Iraty wraz z miasteczkiem i kolonią tejże nazwy. Kolonia Iraty przeznaczona pierwotnie dla holendrów i niemców, zapewne

wkrótce nie będzie się różnić pod względem narodowościowym od innych, gdyż osadnicy ci coraz gromadniej wynoszą się z kolonii i komisya zmuszona jest na opuszczonych lotach osadzać „polaków”.

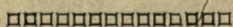
Na takich kawałkach ziemi, jakie rozdaje komisya, nie wyżyje pomimo doskonałego przystosowania się do miejscowych warunków, żaden *caboclo*, nawet mocno przymierając głodem; nie dziwota więc, że tej sztuki nie może dokazać i Europejczyk; wszelkie dalsze próby tworzenia kolonii z osadników o kulturze wyższej od dotychczasowych muszą zakończyć się fiaskiem.

Od stacyi Fernandes Pinheiro opuszczamy tor kolejowy i przez miasteczka Cupim i Enxovia wędrujemy do Ivahy. Tak niemożliwie jednostajgo krajobrazu nie widziałam w życiu całym: przed oczyma przesuwały się podobne jak dwie krople wody ponure piniory, potwornie powykręcane imbuje i kanelle; spotykane po drodze dworki brazylijskie (t. zw. fazendy) budowane są widocznie według jednego wzoru. Jednostajność ta krajobrazu, brak zmiany pór roku, wreszcie jednostajność pogody (po ciągłych, prawie nieustannych deszczach — ciągła bez przerwy pogoda), ogromnie ujemnie wpływają na usposobienie mieszkańców. Nigdzie ani wśród *cabocli*, ani na koloniach polskich nie słyhać wesołego śpiewu, gwaru muzyki, lub innych oznak uciechy. Mieszkaniec tutejszy — posępny, wiecznie jakiś skupiony i zamyślony; rzekłbyś, iż te ponure, milczące bory zaczarowały go i boi się naruszyć ich milczenia.

A jaka tu pustka! Ptactwa w Paranie nadzwyczaj mało, a ssaki należą do rzadkości (wyjątek — szczury i myszy). Owadów natomiast moc nieprzebrana, a w szczególności żywiących zle względem człowieka zamiary. Więc miryady moskitów, muszek nie dają ani sekundy wytchnienia. *Berna* (rodzaj bąka), plaga dla krów i koni, przyczyna niepowodzenia hodowli bydła w wielu miejscowościach, napastuje również i człowieka, składa pod skórę jajeczka, wywołując ropiace się rany, powodujące czasem nawet śmierć; wreszcie pchły zwyczajne i ziemne, kaleczące nogi wędrowca. To też podróż po Paranie bynajmniej do przyjemności nie może być zaliczana; tylko noc są tu ładne — dokoła migocą różnorodne ogniki latarników, powietrze zupełnie balsamiczne, woń różnych nieznanych drzew, w oddali grzmi chór brazylijskich śpiewaków — żab (ptaki tu nie śpiewają, jeno świergocą; wyjątek stanowi drożdż — *s o b i j a*, podobny do naszego śpiewaka (*turdus musicus*).

D. N.

Tad. Chrostowski.





# BIRŻE.

1)



RUINY ZAMKU BIRZAŃSKIEGO  
od południowego-wschodu

fol. J. Sznajder

W samym sercu Litwy, w terazniejszej gub. kowieńskiej, powiecie poniewieskim, nad granicą Litwy z Kurlandją leżą Birże.

Ongi stołeczne miasto księstwa birżańskiego, rządzące się nadanym mu przez pięciu królów polskich prawem magdeburskiem, z silną i warowną fortecą, będącą jednym z główniejszych punktów strategicznych na Litwie, i z zamkiem książęcym—dzisiaj jest to duże miasteczko z ruinami wspaniałej rezydencji ks. Radziwiłłów. Nazwa Birże jest litewskiego pochodzenia od słowa „berżynia”, co znaczy brzeźniak: istotnie gród ten założono na miejscu wyciętego gaju brzoźowego.

Dzisiejsze miasteczko rozciąga się między dwiema rzekami: Oposzczą i Agłoną, które wlewają swe wody w stronę północnej do jeziora Szyrweny. Okolice są płaskie, jednostajne i w promieniu dwóch wiorst bezleśne. A jednak płaszczyna ta pod względem swej budowy geologicznej jest bardzo ciekawa. Podług badań doktora Sudkiewicza oraz uczonego P. B. Hoppena<sup>1)</sup> ma ona pod sobą na przestrzeni 3½ mil wzdłuż i mili na szerokość znaczne próżnie, których sklepieniem są wielkie warstwy gipsu, pokryte skalistą warstwą wapna, a następnie gliną i żwirem. Owe pokłady gipsu leżą dotychczas bez użytku. Dowodem istnienia próżni są głębokie zapadliny na polach i łąkach z kraterami stożkowatej formy; kraterzy te są albo suche na dnie albo mają oko przezroczyściej, niczem niezgłębionej wody. Niejedna z takich zapadlin ma swą historję, przechowaną w podaniach ludowych, oraz stosowną do tych podań nazwę. Na przykład, „Święta Dziura” „Szwentoje”, rodzaj pie-

czary podziemnej ze sklepieniem z połamanych brył gipsu, była podobno miejscem pielgrzymek, ściągającym zewsząd chorych, których uzdrowić miała woda, znajdująca się na dnie pieczary. O 7 wiorst od Birż znajduje się owalna sadzawka, na dnie której tworzą się kraterzy; z nich wytryska źródło Smordony, od swego przykrego i odoru „smirdi” po litewsku nazwane, a zawierające pewną ilość siarki.

Niedaleko miasteczka jest drugie jezioro, Kikutkie, które niegdyś mogło poszczycić się tak rzadkim owocem jak orzechy wodne, zwane po polsku „kotewką”, a po litewsku „agaras”. Według miejscowego podania Radziwiłłowie posyłałi te orzechy królowi Zygmuntowi Augustowi. Silne mrozy w r. 1867 zniszczyły tę roślinę.<sup>2)</sup>

Smutnymi świadkami dawnej świetności zamku książąt Radziwiłłów oraz wolnego miasta pozostały ruiny, jak je odtwarzają załączone fotografie.

„Wiadomości historyczne o zamkach, horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi Litewskiej” Konstantego hr. Tyszkiewicza — oraz „Birże, rzut oka na przeszłość miasta, zamku i ordynacyi” Eustachego Tyszkiewicza — dały mi możność wskrzeszenia historycznej przeszłości dawnej siedziby Radziwiłłów.

W w. XV Birże należały do sekretarza króla Kazimierza Jagiellończyka, Grzegorza Fiedkonisa. W połowie tegoż stulecia G. Fiedkonis poślubił Annę Radziwiłłównę, córkę wojewody wileńskiego, pierwszego Radziwiłła. Umierając bezdzietnym, Fiedkonis uczynił swą żonę dziedziczką Birż, a ta ostatnia przekazała te dobra swym synowcom Jerzemu i Albertowi Radziwiłłom. Nazwisko Radziwiłł pochodzi od imienia litewskiego Radziwiłł. W r. 1401 za Władysława Jagiełły na podpisie uchwały unii Litwy z Koroną jest też nazwisko Weyszund z synem swoim Radziwiłłem. Ten właśnie Radziwiłł (ojciec Anny Fiedkonisowej) w r. 1386 przyjął w Krakowie razem z królem chrzest św. i dostał imię Mikołaja, pogańskie zaś jego imię pozostało w tym samym słynnym rodzie raz nazawsze nazwiskiem.

Jak się Birże za Jerzego Radziwiłła przedstawiały, czy istniał tutaj jakiś zameczek obronny — o tem ścisłych wiadomości historycznych niema. Jerzy Radziwiłł miał brata Jana. Od nich rozdzielił się dom Radziwiłłów na dwie linie: nieświeską

<sup>2)</sup> Szczegółowy opis tej rośliny wraz z jej wyobrażeniem podaje E. hr. Tyszkiewicz w monografii swej „Birże” str. 453 i nast.

<sup>1)</sup> „O wodach birżańskich”.





i birżańską. Gdy ich synowie: Mikołaj Czarny i Mikołaj Rudy, a bracia—jeden stryjeczny a drugi rodzony Barbary, królowej polskiej, otrzymali od króla Zygmunta Augusta najwyższe dostojęstwa w państwie, a od cesarza Karola V tytuł książąt św. państwa Rzymskiego w r. 1547, Birże zostały księstwem i pierwszym jego dziedzicem był ks. Mikołaj Rudy, który odtąd zaczął się pisać księciem na Birzach i Dubinkach. Obaj przyjęli wyznanie ewangelicko-reformowane. Linia nieświeska po śmierci Mikołaja Czarnego przeszła znowu na katolicyzm.

Syn Mikołaja Rudego, Krzysztof I, hetman wielki litewski, pierwszy zamieszkał w Birzach, wznosił zamek obronny, miasto zabudował i przywileje mu nadał, przytem upiększył i rozszerzył kościół ewangelicko-reformowany, założony przez ojca. Listy rozmaitych dygnitarzy polskich adresowane były zwykle do Birż. Wojny ze szwedami pamiętne są dla Birż. Stąd Krzysztof I jak piorun spadł pod Kokenhuzen w r. 1599 i odniósł zwycięstwo, za co otrzymał tytuł starosty kokenhuskiego. Tutaj Karol Chodkiewicz w r. 1603 zebrał swe siły wojenne i wyruszył pod Kirchoholm.

Za czasów Krzysztofa II, w r. 1625, Gustaw Adolf zdobył zamek birżański i zabrał skarbiec książęcy, zapasy wojenne i 60 dział spiżowych, które odesłał do Rygi. Wielki to był cios dla Krzysztofa II. Lecz Rzeczpospolita wynagrodziła go za straty poniesione w obronie ojczyzny. Pomoc ta dozwoliła Krzysztofovi odnowić zrujnowaną twierdzę wraz z zamkiem podług systemu fortyfikacyjnego, używanego w w. XVII w Holandyi, do tego stopnia, że stała się znowu potężnym punktem obronnym tej granicy Litwy.

W r. 1655, Birże znowu były terenem

walki ze szwedami. Dziedzicem był wówczas ks. Bogusław, człowiek dumny, ambitny i wyrachowany. Uwiecznił swe czyny medalami, zowiąc się księciem z Bożej łaski; uroczystości rodzinne obchodzone były z etykietą monarszą: strzelano z armat i uwalniano z kajdan pewną ilość wię-

źniów; żydzi, mieszczenie i ziemianie w prośbach używali słowa „wierny poddany”. Tytuł koniuszego całkiem go nie zadowalał, tron bowiem tylko mógł mieć dla niego urok; nie mogąc jednak marzyć o koronie jako ewangelik, starał się uniezależnić od króla, zgadzając się z polityką domu brandeburskiego. Gdy więc Karol Gustaw wtargnął w granice Litwy, ks. Bogusław połączył się z nim i otworzył mu bramy zamku birżańskiego. Lubo waleczny hetman Gosiewski z rąk nieprzyjacielskich wydarł szturmem Birże, walka jednak długo jeszcze trwała. Pojednawszy się z królem, ks. Bogusław zaniechał udziału w wojnie i oddał się zamiarowi odrestaurowania zrujnowanych dóbr i zaślubienia jedynej córki po stryjecznym bracie, Anny Maryi, celem połączenia ogromnych bogactw domu Radziwiłłów obydwóch linii. W epoce od 1662—1669 r. odnawiano warownię i pałac pod kierownictwem wykształconego architekta Teofila Spinowskiego. Wzniósł on pałac w stylu włoskim, jak go przedstawia załączona fotografia. Przedtem pałac był nieznannej struktury. Zabudowania forteczne Spinowski również na nowo odbudował, a wały naprawił. Plan zamku był wówczas następujący. Pałac rezydencyjny znajdował się wewnątrz fortecy. Dziedziniec zamkowy z bramą rozciągał się na wschód przed nim. Dokoła ciągnęły się: wał wyższy, fosa wyższa, wał niższy, fosa wielka; od wschodu był wjazd do zamku, od zachodu wał od stawu. Na czterech

szczytach były murowane prochownie (Pulverturmy). Zamku broniło 565 dział, a kul armatnich 6595. Sztyldwachów stałych było 7.

Utrzymanie twierdzy kosztowało rocznie złp. 4980. W r. 1665, w epoce odnawiania fortecy, zamek odwiedziła księżna kurlandzka, ciotka ks. Bogusława,

wraz z wojewodzianką wileńską, Anną Radziwiłłówną, narzeczoną księcia. Oglądały fortecę i były gościnnie podejmowane w imieniu nieobecnego księcia przez komendanta zamku Karlicka z Neretitz. Dano obiad: „dwoje noszenie po dziesiątku półmisków”.



ZAMEK BIRŻAŃSKI W XVII W.

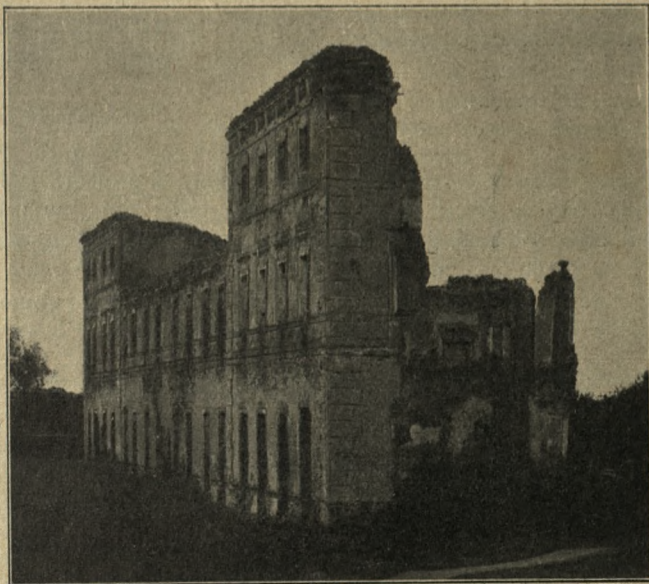




W r. 1669 umarł ks. Bogusław, czyniąc swą córkę Ludwikę Karolinę spadkobierczynią wszystkich swych dóbr. Mając dużo starających się, między innymi i królewicza Jakóba Sobieskiego, bogata i piękna księżniczka oddała pierwszeństwo margrabiemu Brandeburskiemu, a po raz drugi zaślubiła księcia Neuburskiego, katolika, co pociągnęło za sobą ważne następstwa dla księstwa birżańskiego.

Gdy dziedziczką Birż była jedyna córka Ludwiki - Karoliny, Elżbieta Augusta, księżna Sulzbach, odnowiona twierdza birżańska do czekała się północnej wojny szwedów z Rosją. Piotr Wielki szukał pomocy w przymierzu z królem Augustem II, na co ostatni chętnie przystał, myśląc o opanowaniu Inflant. Na zamku birżańskim odbył się zjazd monarchów. Golikow w dziele: „Diejanja Pietra Wielikaho, Mudraho Preobrazowatiela Rossii” tak opisuje ten fakt: „17-go lutego cesarz przybył z małym orszakiem do Birż, gdzie go już król August oczekiwał. Tam utwierdził z królem Augustem dawniejszy traktat, zobowiązał się dać mu 200,000 rb. i wojska od 15—20,000 z potrzebną amunicją, a to tem chętniej cesarz uczynił, im bardziej sobie życzył, ażeby nowy jego żołnierz przy starem wojsku saskiem prędzej się wyćwiczył. Monarchowie stąd jeździli do Mitawy i Dünamünde, zdobytego przez króla polskiego na początku tej wojny, skąd wrócili dopiero dnia 28 lutego. Piotr W. wśród ciągłych zatrudnień i prac wojennych, miał dosyć czasu na krotoczwile w tym czasie swego pobytu w Birżach.” „W zamku zamieszkali: Piotr W., król August, ks. Kurlandzki, „d j a k d u m n y”, (były nauczyciel cara) i t. d. Łóżko i firanki dla cesarza były z białego adamaszku. Carowi bardzo podobał się tryb życia króla Augusta i przepych jego dworu. Głaskał magnatów, tańcował z naszymi kobietami, ubierał się niekiedy w polskie suknie (w Orużejnej Pałacie w Moskwie przechował się jego czerwony kontusz) i t. d. Po obiedzie Piotr W. i August strzelali do celu z armat, sami osobiście mierząc.

Car przerosił, a August trafiał. Na pamiątkę spotkania monarchów August II rozkazał wybić dwa medale. Na jednym jest portret Augusta II napis: „Augustus II D. G. Rex Polon. et El. Sax.” Na drugim portret Piotra i napis: „Petrus Alexiex Magnus Russ. Zaar.” Wojna w Inflantach



fol. B. Michelson

RUINY ZAMKU BIRŻAŃSKIEGO

i Kurlandyi wrzała, a Birże były świadkiem wielu smutnych wypadków. Od roku 1702 szwedzi płądrowali tutaj. W 1703 dowódzca szwedzki Lövenhaupt skierował swe kroki ku Birżom dla połączenia się z Sapięgą przeciwko Wiszniowieckiemu. Lecz Wiszniowiecki z pomocą wojsk rosyjskich zajął Birżę, zmienił załogę w zamku i zostawił na przechowanie rozmaite kosztowności i amunicję. Ostatecznie w sierpniu r. 1704 Lövenhaupt obległ twierdzę, zdobył ją, zburzył zamek oraz fortyfikacje, pozwalając załodze wyjść wolno. Odtąd Birże przestały istnieć jako warownia i już nie przyjmowały w toczących się wojnach żadnego udziału. Ruiny tak były poniszczone, że z trudnością, porównyując je z rysunkami, znalezionymi w archiwum, można było odgadnąć główną stronę pałacu.

Zaraz po zburzeniu musiały tutaj jednak pozostać ocalone pokoje, bo w r. 1705 Piotr W., po drodze z Wilna do Kurlandyi, zatrzymał się na cztery dni w zamku birżańskim. Załogi w Birżach żadnej już nie było, tylko w latach 1709 i 1710 stała tutaj rota 7-go pułku astrachańskiego pod dowództwem majora Famińca. Ta ostatnia wojna drogo kosztowała księstwo birżańskie oraz miasto, bo kontrybucye i utrzymanie wojsk swoich, przeciwnej partyi i obcych od r. 1701—1718 wyniosły 2.730.820 złp., t. j. około 900,000 rubli—jak na owe czasy — olbrzymia to suma!

Odkąd Ludwika Karolina poślubiła ks. Neuburskiego, dom brandenburski rościł pretensye do jej dóbr dziedzicznych, Radziwiłłowie zaś starali się o odzyskanie ich i skupienie w swych rękach. Młody Hieronim Floryan, syn w. kanclerza lit. linii nieświeskiej poznał za granicą wnuczkę Ludwiki Karoliuy, księżniczkę Franciszkę Sulzbach, zare-





czył się z nią i z intercyzą ślubną objął w r. 1730 w dziedzictwo księstwo birżańskie. Chociaż małżeństwo to do skutku nie doszło, jednak Birże pozostały w ręku ks. Hieronima, który w r. 1749 wszystkie dobra na Litwie, zwane neuburskimi, wykupił za 6.000.000 zlp.

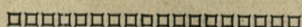
W r. 1760, po śmierci ks. Hieronima, Birże przeszły do księcia Michała Kazimierza, wojewody wileńskiego, w. hetm. lit., z przezwiskiem „Rybeńku”. Ks. Michał przyjął wiadomość o tak znacznym spadku obojętnymi słowy: „Kropla w morzu, Rybeńku!”

Po nim Birże odziedziczył ks. Karol Radziwiłł, zwany Panie Kochanku. W Birżach, dla braku rezydencji, dziedzice wówczas już nie mieszkali. Ks. Panie Kochanku pozostawił jednak po sobie w Birżach pamiątkę przez przyjmowanie tutaj przejeżdżającej z Rosji za granicę ks. Kingston,

w której się kochał za młodu i z którą postanowił ożenić się. Awanturnicza księżna słynęła aż młodu pięknnością i bogactwem. Aby pozyskać względy 53-letniej wdowy, ks. Karol przyjmował ją w Birżach z nadzwyczajnym przepychem. Z pamiętników baronowej d'Oberkirch, która osobiście знаła ks. Kingston w 66 r. jej życia, dowiadujemy się szczegółów, udzielonych baronowej przez samą księżnę: „Książę wyprawiał nielzychane uroczystości i zabawy dla swego bóstwa, trwały one dni czternaście i kosztowały dwa kroć pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Kazał on umyślnie budować domy drewniane, przepysznie umeblowane w rodzaju wiejskim, ozdobione liśćmi i roślinami. Naokoło tego miasta sztucznie wzniesionego, było naśladowanie bitwy; zaczęto od oblężenia bronionego miasta, a bomby i granaty były ze sztucznych ogni robione.”

D. N.

Walerya Mieszkowska.



## Ze Stowarzyszeń.

— W dniu 22 b. m. odbyło się posiedzenie Komisji do badań astronomicznych, geofizycznych i meteorologicznych przy Wydziale III Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, poświęcone sprawom spostrzeżeń astronomicznych w Królestwie Polskiem. Rozpatrzono sprawozdanie p. W. Szaniawskiego o stanie obecnym i pierwszych pracach fotograficznych, dokonanych w Obserwatorium astronomicznym, świeżo zbudowanem w majątku Przegaliny, gub. siedleckiej. Obserwatorium to posiada największy obecnie na ziemiach polskich refraktor i przewyższa pod tym względem obserwatoria astronomiczne w Krakowie i w Warszawie. Poza tem pp. Dickstein i Krassowski referowali o stanie obecnym i potrzebach Obserwatorium im. Jędrzejewicza, które w najbliższym czasie ma być przeniesione do nowej siedziby w Grudowie (pod Milanówkiem) i na nowo zorganizowane.

— W dniu 23 ub. m., odbyło się posiedzenie Wydziału III Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym przedstawiono następujące komunikaty:

1) p. Sł. Miklaszewski: „Ślady lodowca na ś. Krzyżu”.

2) p. Z. Wóycicki: „W kwestyi wzrostu opon pyłkowych ślazu leśnego (*Malva silvestris* L.)”.

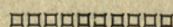
3) p. J. Tur: „O normalnej asymetrii pola naczyniowego zarodków ptasich”.

4) p. Wł. Gorczyński: „O opadach w Królestwie Polskiem. Część I.”

5) p. W. Sierpiński: „Przyczynek do zbieżności szer gów potęgowych”.

6) P. E. Malinowski: (przedstawił p. Z. Wóycicki): „Mozaika porostów naskalnych”.

7) P. L. Lichtenstein (przedstawił p. S. Dickstein): „Uwaga o równaniach różniczkowych cząstkowych nieliniowych rzędu drugiego typu eliptycznego. Cięgi zbieżne rozwiązać”.



## Nowe książki.

*Proj. Kazimierz Nitsch. Mowa ludu polskiego (z mapą). Kraków, 1911 r. Skład główny Leon Frommer w Krakowie, E. Wende (T. Hiż i A. Turkult) w Warszawie, str. 162 in 8-0.*

Jednym z ważniejszych działów krajoznawstwa jest niewątpliwie ludoznawstwo, czyli zbiór wiadomości dotyczących ludu wiejskiego, jego właściwości fizycznych (antropologicznych), sposobu życia, wierzeń, obyczajów i zwyczajów. Kto chce bowiem wszechstronnie poznać swój kraj ojczysty, musi z konieczności zainteresować się ludem, kraj ten zamieszkującym. Atoli poznanie tego ludu nie byłoby zupełne, gdybyśmy pominęli jego mowę, tak dla niego charakterystyczną i tak pod wielu względami różniącą się od języka ogólnonarodowego czyli literackiego. Sądzę przeto, że ukazanie się książki, wymienionej w nagłówku, jest dla czytelników „Ziemi” zjawiskiem wcale nieobojętnem. Jeżeli nadto zważymy, że omawiana książka wyszła z pod pióra pierwszego dzisiaj dyalektologa polskiego i jednego z wybitniejszych językoznawców polskich, który wzbogacił naszą literaturę naukową całym szeregiem źródłowych, pierwszorzędnej wartości prac dyalektologicznych, ukazanie się „Mowy ludu—polskiego” musimy przyjąć z tem większem uznaniem i uczuciem wdzięczności dla autora.





Prof. Nitsch w pracy „Próba zgrupowania gwar polskich” (Osobne odbicie z T. XLVI Rozpr. Wydz. Filolog. Ak. Um. w Kr.) pierwszy podał jedynie naukowo uzasadnioną, bo na podstawie faktów językowych opartą, syntezę gwar polskich; przedtem bowiem zgrupowywano gwary polskie na podstawie ich rozmieszczenia geograficznego, dzieląc je na górno, średnio i dolnopolskie. To opieranie klasyfikacji gwar na podstawie geograficznej, nie mającej bezpośredniego związku z faktami językowymi, wynikało z braku i niedokładności materiału językowego, którym dyalektologia nasza rozporządzała; od czasu bowiem ukazania się dzieła prof. L. Malinowskiego, twórcy dyalektologii polskiej: „Beiträge zur slavischen Dyalektologie. Ueber die Oppelnsche Mundart”. (Lipsk, 1873), liczne prace, ogłaszane z zakresu dyalektologii (w Rozpr. Wydz. Filolog. Akad. Um. w Krak., Sprawozd. Kom. Jęz., Materiałach i pracach Kom. Jęz. Ak. Um., Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej, Materiałach antropol.-archeolog. i etnograf., Pracach Filolog. i Ludzie) w sposób mniej lub więcej dokładny opisywały gwary jednej, najwyżej kilku sąsiadujących wsi. W takim stanie rzeczy naturalnie całe obszary naszego terytorium nie były pod względem językowym zbadane. Pierwszem dziełem, w którym zostały uwzględnione gwary całej prowincji, była właśnie praca prof. K. Nitscha „Dyalekty polskie Prus Zachodnich” (Mat. i Prace Kom. Jęz. Ak. Um. t. III). Poza tem prof. Nitsch zbadał osobliście gwary Prus wschodnich, Śląska, Wielkopolski, niektóre gwary małopolskie w Galicyi, odbywał również wycieczki dyalektologiczne po Królestwie, badał na miejscu gwary kaszubskie (por. między innymi artykuł, drukowany w „Ziemi” № 22 r. b.). Nic więc dziwnego, że książka, z którą chcemy czytelników „Ziemi” zapoznać, jakkolwiek jest dziełem popularnem, przeznaczonem dla kół szerszych, odznacza się ścisłością naukową, tak pod względem dokładności podanego materiału, jak również sposobu jego ujęcia i wyłożenia; to też uważny a inteligentny czytelnik po jej przeczytaniu przyswoi sobie naprawdę rzetelne podstawy dzisiejszej naukowej dyalektologii polskiej.

Książka prof. Nitscha składa się z 7 rozdziałów. W rozdziale I-y (str. 1—36) omawia autor „popularne pojęcie o mowie ludowej”, podaje jej określenie naukowe, wskazuje na istotne podstawy zjawisk językowych, a charakteryzując w zarysach zasadniczych metodę badania tych zjawisk, określa stanowisko językoznawstwa wśród innych umiejętności; wreszcie określiwszy wzajemny stosunek, zachodzący między pojęciami „język” a „dyalekt”, dzieli wszystkie możliwe dyalekty polskie na trzy grupy zasadnicze: 1) „gwary ludowe na obszarze etnograficznym Polski”, 2) „różne odmiany dyalektu kulturalnego, zwanego jęz. literackim”, 3) „mowę polaków na obczyźnie”. Następne stronicie rozdz. I-go są poświęcone krótkiej historii dyalektologii polskiej i metodzie badań gwarowych. Na te końcowe ustępy chciałbym zwrócić szczególniejszą uwagę czytelnika, gdyż wśród większości naszych miłośników mowy ludowej rozpowszechniony jest niestety pogląd, iż zupełnie wystarczającym przygotowaniem dla zbieracza danych dyalektologicznych jest znajomość gra-

matyki szkolnej. Otóż pomijając już fakt, że kto się nie wyzbył przesądów, od których roi się w przeważnej większości naszych gramatyk szkolnych, ten nie może ze stanowiska dzisiejszego językoznawstwa naukowo myśleć o zjawiskach językowych wogóle, a co za tem idzie i o zjawiskach języka gwarowego; — pomijając, powiadam, ten fakt, każdy, kto chce, aby jego zbiory posiadały jakąkolwiek wartość naukową, musi: 1) przyswoić sobie przynajmniej elementarne wiadomości z zakresu fonetyki (fizjologii dźwięków mowy), 2) nabrać pewnej wprawy w zapisywaniu faktów w języku gwarowym. Kogo pod tym względem książka prof. Nitscha nie przekona, ten napewno „zamiast korzyści dla nauki, przyniesie ... tylko zamieszanie”.

Rozdz. II-gi (str. 31—61) poświęca autor opisowi cech głosowych gwar polskich, wymieniając te z nich, które mają najdonioślejsze znaczenie dla klasyfikacji dyalektów polskich; a więc mówi o pełnogłoskach (samogłoskach) ściśnionych *č, á, ó, Ń*, o pełnogłoskach nosowych; w dziedzinie spółgłosek omawia t. zw. „mazurzenie” t. j. wymowę przedniojęzykowo-dziąsłowych *sz, ż, cz, dż*, jako spółgl. przedniojęzykowo-zębowych *s, z, c, dz* i zmiany spółgl. wargowych podniebnych. Z dziedziny fonetyki międzywyrazowej autor opisuje sposób wymawiania na obszarze językowym polskim końcowych spółgłosek wyrazu przed początkowemi pełnogłoskami i spółgl. t. zw. płynnemi i nosowemi (*r, l, ł, j, m, n, Ń*) następnego wyrazu. Rozdział kończy krótka wzmianka o akcencie polskim.

W rozdz. III (str. 62—74) omawia autor pewne właściwości morfologiczne gwar polskich: w dziedzinie słowotwórstwa opisuje sposoby urabiania nazwisk żeńskich i imion, oznaczających istoty niedorośle; w obrębie deklinacji mówi o uproszczeniu typów odmiany, dalej o zachowaniu w deklinacji i konjugacji resztek form liczby podwójnej, o zachowaniu dawnej formy prostej cz. przeszłego, czyli t. zw. aorystu, wreszcie o formach osobowych i rzeczowych w deklinacji rzeczowników, przymiotników i imiesłowów.

Na podstawie materiału, podanego w rozdz. II i III, autor w rozdz. IV (str. 75—106) grupuje gwary polskie według ich rozmieszczenia geograficznego. Omawia nasamprzód stosunek do gwar polskich kaszubszczyzny. Streściwszy pokrótce historię sporu naukowego, wywołanego kwestyą kaszubską, przedstawia dzisiejsze poglądy na tę sprawę, odsyłając po bardziej szczegółowe wiadomości do pracy swej: „Stosunek pokrewieństwa języków lechickich” (Mat. i prace Kom. Jęz. Ak. Um. t. III); mowa kaszubów wprawdzie pozostaje w bardzo ścisłym związku z językiem polskim, nie mniej przeto nie może być uważana za jego dyalekt, lecz musi być przeciwstawiona wszystkim dyalektom polskim, wziętym jako całość, a to z powodu całego szeregu cech, wyróżniających się od dyalektów czysto polskich. Wyliczywszy te cechy, autor podaje kilka próbek języka kaszubskiego. Przechodząc do dyalektów czysto polskich, dzieli je autor na: 1) mazurzące i 2) niemazurzące. W każdym z tych działów są uwzględnione dwa poddziały, z których jeden obejmuje dyalekty dawniejsze, drugi — dyalekty nowsze. Wśród dyalektów dawniejszych Polski niemazurzącej





rozdzieli autor: 1) dyalekty wielkopolskie, 2) krajiacko-borowiackie, 3) kujawskie i 2) chełmińsko-dobrzyński. Wśród nowszych dyalektów Polski niemazurzącej, autor wylicza: 1) kociewski, 2) malborsko-lubawski i ostródzki i 3) warmiński. Do dyalektów dawniejszych Polski mazurzącej zalicza prof. Nitsch: 1) śląskie, 2) małopolskie (północno-zachodnie, wschodnie i góralskie) i 3) mazowieckie południowe. Dyalekty nowsze Polski mazurzącej w klasyfikacji prof. Nitscha dzieli się na: 1) mazowieckie północne, 2) podlaskie i augustowskie i 3) małopolskie pograniczne z ruskimi (niemazurzące).

Podaną klasyfikację dyalektów polskich prof. Nitsch zaopatruje całym szeregiem objaśnień, a niektóre z gwar ilustruje próbkami językowymi. W rozdz. V (107—130) omawia autor zjawiska leksykalne gwar polskich. Zwrociwszy uwagę na doniosłość umiejętnego zbierania materiałów, dotyczących słownika gwarowego, omawia autor wyrazy, oznaczające rośliny uprawne, zwierzęta domowe, sprzęty gospodarskie, urządzenia rolnicze, dalej wyrazy oznaczające barwy, ludzi, zależnie od ich stanu, zawodu, stopnia pokrewieństwa lub powinowactwa. Rozdział kończy się rozbiorem całego szeregu wyrazów, powstałych wskutek t. zw. etymologii ludowej, czyli upodobnienia (asymilacji) znaczeniowej.

W rozdz. VI-ym (str. 131—140) rozpatruje autor wpływ języków obcych (niemieckiego, ruskiego, słowackiego i czeskiego) na słownik, gramatykę i wymowę gwar polskich.

Rozdz. VII-y (str. 141—160) poświęca autor omówieniu wzajemnego stosunku gwar między sobą i do języka literackiego.

Wyłożona treść książki, jak również sposób jej wykonania, o którym mówiłem w pierwszej części sprawozdania, sprawia, iż starać się powinniśmy, aby znalazła ona jak największe rozpowszechnienie, krzewiąc w kręgach naszej inteligencji rzetelną wiedzę o zjawiskach językowych wogóle, a o mowie ludu polskiego w szczególności.

Stanisław Sober.

□□□□□□□□

## Kronika krajoznawcza.

× Niedawno przy budowie nowego mostu z Grobli na Miasteczko w Poznaniu wykopano małe działko, jak się zdaje, szwedzkie. W ostatnich dniach wykopano znowu pięć takich dział w dobrym stanie. Nie ulega wątpliwości, że są to działki polskie, gdyż na jednym z nich widoczny jest jeszcze herb polski. Dalej wykopano rękojeść od szabli tureckiej, silnie zardzewiałą, z dobrze utrzymanym napisem złotym. Prócz tego znaleziono zardzewiałe ostrogi oraz czaszki końskie. Wykopaliska te historyczne poddane będą badaniom.

× Majątek rycerski Mirosław, w pow. chodzieskim, w W. Ks. Poznańskim, obszaru przeszło 2,000 morgów przeszedł na własność komisji kolonizacyjnej. Majątek ten znajdował się dotychczas w rękach niemieckich.

+ W Brzeźnicy, w ziemi piotrkowskiej, urodził się słynny historyk polski, Jan Długosz. Na pamiątkę tego faktu w kościele miejscowym umieszczona była tablica pamiątkowa, kościół ten jednak z powodu starości rozebrano i wybudowano nowy, a tablica przy rozbiórce starego kościoła uległa zupełnemu uszkodzeniu. Wobec tego odwołano się do władzy o pozwolenie zbierania składek w gub. piotrkowskiej do wysokości 1,000 rb. na sprawienie nowej tablicy. Jednocześnie przedstawiono listę osób, mających wejść do składu komitetu budowy tablicy pamiątkowej. Władze udzieliły żądanego pozwolenia, ale pod warunkiem przedstawienia najprzód planu i kosztorysu, sporządzonego przez budowniczego powiatowego. Z braku funduszków sprawa ta ani na krok nie postąpiła dalej. Mieszkańcy Brzeźnicy za pośrednictwem „Iskry” sosnowickiej odwołują się do ogółu o przyjęcie z pomocą materialną na wykupienie planu i kosztorysu.

---

---

## Od Administracji. Prosimy Sz. Czytelników, o wniesienie przedpłaty za rok 1912.

---

---

**TREŚĆ:** M. Federowski—Zygmunt Gloger. (c. d.) *Dr. Eugeniusz Romer*—Kilka spostrzeżeń nad termiką wód Tatr i Podhala (c. d.) T. Chrostowski—Z kolonii polskich w Paranie (z 4 ryc). *Walerja Mieszkowska*—Birze (z 3 ryc.)  
Ze stowarzyszeń. Nowe książki. Kronika krajoznawcza.

---

---

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i tamał Ignacy Miazga.—Odbijał na maszynie Karol Rej—Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wiersbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

---

---

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec